

Krzysztof Pilawski

Od momentu największego sukcesu – zwycięstwa w wyborach parlamentarnych w 2001 roku – lewica walczy sama ze sobą. I choć z jej ówczesnego stanu posiadania zostały jedynie marne resztki, politycy lewicy wykazują nadzwyczajną aktywność i inwencję w wykańczaniu się nawzajem. Co nimi powoduje?

Zacząło się od pamiętnej wojny o przywództwo na lewicy między „Dużym Pałacem” (ośrodek prezydencki z Aleksandrem Kwaśniewskim) a „Małym Pałacem” (ośrodek premierowski z Leszkiem Millerem). W tej walce nie było elementów programowych. Prezydent nie krytykował cięć socjalnych dokonywanych przez rząd Millera, zakupu myśliwców F-16, pomysłu wprowadzenia podatku liniowego. Obaj panowie mieli jednakowy stosunek do Unii Europejskiej i NATO. Obaj zabiegali o jak najlepsze stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Obaj byli miłymi partnerami do rozmów z Kościołem katolickim, nie drażnili go liberalnymi inicjatywami światopoglądowymi. Obu imponowały bliskie, także nieformalne, związki z przedstawicielami wielkiego biznesu.

Brak różnic programowych podkreślały stawiane Millerowi przez zwolenników Kwaśniewskiego zarzuty skupiające się nie na treści, lecz formie – stylu sprawowania władzy, etyce. To one zdominowały deklarację „Dość złudzeń” i stały się pretekstem do dokonania przez Marka Borowskiego rozłamu w SLD na konwencji tej partii w marcu 2004 roku – bezpośrednio po tym, gdy próba przejęcia przywództwa w Sojuszu spaliła na panewce.

W grudniu 2002 roku „Rzeczpospolita” pisała o „planach utworzenia formacji prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego”, której mogliby przewodzić Marek Borowski, Ryszard Kalisz lub Józef Oleksy. Czas nie był przypadkowy. „Partia Kwaśniewskiego” była bowiem odpowiedzią na upadek Unii Wolności. Wiodąca (w sensie programowym) siła polityczna III RP w 2001 roku nie dostała się do Sejmu, uzyskując poparcie zaledwie 3,1 proc. wyborców. Jesienią 2002 roku w wyborach do sejmików województw UW startująca pod szyldem Unii Samorządowej zdobyła 2,29 proc. głosów. Potężna do niedawna siła znalazła się w politycznym niebycie. Ratunkiem dla niej miało być nowe usytuowanie – u boku lewicy. Byłoby to zwieńczenie idei budowy wspólnej partii przez dawnych reformatorów z PZPR z obozem dawnej opozycji demokratycznej w PRL, a więc głównych sił, które porozumiały się przy Okrągłym Stole. Główną przeszkodą na drodze do realizacji tego projektu w latach 90. były nie tyle różnice programowe (choć trzeba pamiętać, że UW kierował m.in. Leszek Balcerowicz), co przede wszystkim historyczne. Politycy Unii Wolności z pogardą odnosili się do byłych działaczy PZPR, popierali rozliczenia, lustrację, powołanie Instytutu Pamięci Narodowej. Dopiero klęska ich partii oraz szybko rosnący w siłę prawicowi radykałowie, którzy traktowali środowisko UW nie lepiej niż postkomunistów, zmieniły sytuację. Podstawową przeszkodą połączenia obu obozów okazał się Leszek Miller. Miller także już w latach 90. był przekonany do partii, w której byłiby i postkomuniści, i dawni opozycjoniści. To on sprowadził do SLD polityków UW, w tym Andrzeja Celińskiego i Katarzynę Piekarską. To Miller na I Kongresie SLD w 1999 roku zgodził się m.in. na krytyczne wobec PRL i pochwalne wobec dawnych opozycjonistów zapisy w programie partii: „W nasze postrzeganie polskich spraw wpisane jest myślenie i działanie tych wszystkich działaczy opozycji demokratycznej, którzy w imię ideologii demokratycznego socjalizmu podjęli w czasach PRL walkę o godność robotników, honor i dobre imię polskiej lewicy” oraz „Oddajemy szacunek wszystkim, którzy w trudnych, a nierzadko tragicznych czasach PRL, uczciwą i rzetelną pracą służyli krajowi i innym ludziom. Odnosimy się z uznaniem i wdzięcznością do tych, którzy potrafili przeciwstawiać się niegodziwościom pojałtańskiego systemu i przyczynili się do

dzisiejszego demokratycznego porządku wolnej Polski. Potępiamy zbrodnie totalitaryzmu komunistycznego, będącego zaprzeczeniem ideałów lewicy i wszelkie działania podejmowane w Polsce po 1944 roku przeciwko człowiekowi i społeczeństwu. Składamy hołd ofiarom tych zbrodni. Pamiętamy, że żyje jeszcze wielu poszkodowanych. Należy im się zadośćuczynienie, w tym dochodzenie praw na drodze sądowej. Wszystkim poszkodowanym oddajemy szacunek”. A więc i tutaj nie było programowych różnic między Kwaśniewskim a Millerem. Główna i decydująca różnica dotyczyła formy budowy wspólnej partii. Miller chciał zachować kontrolę nad rolą w niej środowiska UW, zaś Kwaśniewski był gotów oddać mu miejsce zdecydowanie wykraczające poza jego realne wpływy. Miller był rzecznikiem kooptacji środowiska UW do wielkiego SLD (w 2002 roku zgodził się na start grupy członków UW na SLD-owskich listach w wyborach samorządowych), zaś Kwaśniewski – parytetów korzystnych dla liberalno-demokratycznego partnera. Strategia Millera prowadziła do roztopienia środowiska dawnych opozycjonistów w SLD-owskiej masie, nie sprzyjała jego integracji i odrodzeniu jako samodzielnej sile. Powodzenie strategii Kwaśniewskiego umożliwiało środowisku UW powrót do wielkiej polityki. Różnica w podejściu do środowiska liberalno-demokratycznego wywodzącego się z dawnej opozycji legła u źródeł wielkiej wojny na lewicy. To właśnie dlatego Miller został okrzyknięty przez „Gazetę Wyborczą” przedstawicielem aparatu, zaś stronnicy Kwaśniewskiego w SLD za otwartych reformatorów.

Upadek rządu Millera potwierdził nadzieje pokładane w Kwaśniewskim przez liberalnych demokratów. W rządzie Marka Belki znalazło się miejsce dla przedstawicieli pozaparlamentarnego środowiska UW. Współpraca układała się tak dobrze, że SLD-owiec Marek Belka i SLD-owiec, wicepremier Jerzy Hausner zgłosili się do Partii Demokratycznej. PD była drugą – po rozłamie Borowskiego – próbą marginalizacji SLD i zastąpienia jej przez nową partię centrolewicową. Ten projekt musiał skończyć się fiaskiem, bo opierał się jedynie na wątej bazie politycznej, której nie był w stanie poszerzyć prezydent. Projekt PD był nie do przyjęcia zarówno dla SLD, jak i SDPL. Żadna z tych partii nie mogła zgodzić się na dominację środowiska, które choć utraciło mandat zaufania społecznego, podkreślało wciąż własną wyższość wobec postkomunistów.

Fiasko PD było oczywiste także dla Kwaśniewskiego, który nie zrezygnował z przejęcia kontroli nad SLD. Udało się to wiosną 2005 roku, gdy przywódcą SLD został Olejniczak. Choć zabrakło czasu na porozumienie z SDPL i PD w sprawie wspólnego udziału w wyborach parlamentarnych, to w wyborach samorządowych w 2006 roku oraz w wyborach parlamentarnych w 2007 pojawił się sztyld LiD.

Sukces zwolenników szerokiego otwarcia na środowiska centrolewicowe i liberalno-demokratyczne wywołał gniew młodych działaczy SLD. Jego powody nie miały jednak źródeł programowych, bo programowo, co potwierdziły także niedawne badania socjologiczne, działacze Sojuszu sytuują się w regionach odległych od uznawanych tradycyjnie za lewicowe. Rozgniewał ich fakt nadmiernych koncesji na rzecz przedstawicieli innych partii. Młody aktyw SLD reprezentuje styl myślenia Millera. Koncesje na rzecz dawnych opozycjonistów są czymś kompletnie niezrozumiałym. Podobnie jak dla „zdrajców” z partii Borowskiego. Odmłodzenie SLD okazało się niekorzystne dla Kwaśniewskiego, sprzyjało emancypacji Sojuszu, który stał się partią młodego, żadnego władzy aparatu. Ta grupa znalazła swego rzecznika w Napieralskim. To ona zdecydowała o jego sukcesie na czerwcowym kongresie.

Choć obecny szef SLD deklaruje się jako rzecznik świata pracy, bezwzględny krytyk neoliberalizmu, a nawet socjalista (Zapatero, do którego się porównuje, jest przecież socjalistą), to jest to jedynie maska. Za deklaracjami miłości do PRL, Wojciecha Jaruzelskiego oraz obrony

interesów klasy robotniczej, kryją się pragmatyczne interesy młodego aparatu, który chce rządzić nie tylko partią, ale i krajem. Jego idolem pozostaje Miller, który stworzył wielką partię, wygrał wybory i długo bronił SLD-owskiego szyldu. Nieprzypadkowo Napieralski w grudniowym wywiadzie dla „Dziennika” poza powtórzeniem zakłęcia (niezwykle ważnego dla jego aparatu), że po następnych wyborach SLD będzie współrządzić, oświadczył, iż chciałby powrotu do partii Leszka Millera. Gestem w stronę Millera było zaproszenie go 16 grudnia do siedziby SLD do udziału w dyskusji o stanie wojennym, którą prowadził rzecznik Sojuszu. Niemal nazajutrz pojawiły się doniesienia, że Miller stanie na czele projektowanego przez Napieralskiego Instytutu Europejskiego - ośrodka programowego SLD.

Miller, który wyraźnie sympatyzuje z Napieralskim, wezwał z ekranu telewizyjnego Wojciecha Olejniczaka do ustąpienia z funkcji przewodniczącego Klubu Parlamentarnego Lewica. To potwierdzenie, że i on – zwolennik neoliberalnych rozwiązań gospodarczych, rzecznik interesów USA, pułkownika Ryszarda Kuklińskiego w latach 90. i sympatyk księdza Jankowskiego - nie traktuje serio głoszonych przez Napieralskiego poglądów (sprzeciw wobec tarczy antyrakietowej, obrona pomostówek, ograniczenie przywilejów Kościoła katolickiego itp.). Za to chętnie weźmie udział w kolejnej bijatyce na lewicy, by po pierwsze zemścić się za klęski i upokorzenia, a po drugie – zawalczyć o odzyskanie choć części dawnych wpływów. Miller – co sam to przyznawał w wywiadach - nie zamierza rezygnować z polityki nawet po siedemdziesiątce.

Napieralski wzywa Millera na pomoc po dwóch nieudanych próbach usunięcia Olejniczaka z funkcji szefa klubu i przegranej w klubie w sprawie pomostówek. To osłabiło pozycję szefa partii. W dodatku sondaże wyraźnie pokazują, że mimo deklarowanego zwrotu programowego, notowania SLD pod jego przywództwem są nadal niepokojąco niskie.

Mimo to klucz do lewicy nadal znajduje się na Rozbrat i jest on wciąż w kieszeni Napieralskiego. Kontrolę nad lewicą można zapewnić sobie wyłącznie poprzez zdobycie siedziby SLD. Potwierdził to nieudany projekt „Otwarta Polska”, któremu towarzyszyła zapowiedź Dariusza Rosatego o możliwości zbudowania centrolewicy bez Sojuszu. Projekt upadł, a na jego miejscu pojawił się nowy, wsparty autorytetem Aleksandra Kwaśniewskiego. Przedsięwzięcie nosi nazwę Centrum Politycznych Analiz – Projekt dla Polski. Zgodnie z informacjami umieszczonymi w „Przeglądzie” (nr 51/2008), Centrum ma być „niezależną organizacją niezwiązaną z jakąś określoną partią; chce współpracować z różnymi środowiskami lewicowymi i centrolewicowymi”.

Były prezydent jest patronem projektu. Jego formalnym szefem jest prof. Janusz Reykowski, były działacz PZPR, zwolennik porozumienia z opozycją demokratyczną, uczestnik Okrągłego Stołu, autor wielu opracowań programowych dla lewicy. Ciekawy jest skład Rady Programowej Centrum. Znaleźli się w niej m.in. aktywni i wpływowi politycy związani z SDPL: Marek Borowski, Józef Pinior i Dariusz Rosati. W składzie Rady są usunięci przez Napieralskiego z Rozbrat Krzysztof Janik i Lech Nikolski. W Radzie mają pracować zarówno osoby o poglądach centrowych, liberalnych (np. Włodzimierz Cimoszewicz, Marek Belka), jak i wyraźnie lewicowych: Tadeusz Iwiński czy Krzysztof Teodor Toeplitz. Choć w tym gronie znalazło się miejsce dla wiceprzewodniczącego SLD Longina Pastusiaka, to nie ma w nim osoby bliskiej Napieralskiemu.

Prof. Zdzisław Sadowski wyłożył w „Przeglądzie” istotę programową Centrum Politycznych Analiz, którą jest teoretyczne uzasadnienie wspólnoty interesów programowych lewicy i liberalnej demokracji: „Myśl socjaldemokratyczna wespół z liberalno-demokratyczną stworzyły różne koncepcje i formy przeciwdziałania negatywnym skutkom swobody rynkowej:

interwencjonizm i państwo opiekuńcze jako formy korygowania rynku i negatywnych skutków podziałowych jego funkcjonowania. Formy te zdają egzamin w krajach skandynawskich. Liberalizm demokratyczny stworzył koncepcję społecznej gospodarki rynkowej, która opiera się na idei tworzenia ram instytucjonalnych, ograniczających wadliwość rynku”. Tę myśl można odczytać jako zachętę do tworzenia nowej szerokiej koalicji lewicy i demokratów. Trudno nie dostrzec słabości w wywodzie prof. Sadowskiego. Polscy liberalni demokraci opowiedzieli się za terapią szokową, monetaryzmem, doktrynalną prywatyzacją, są odpowiedzialni za tragiczny los pracowników zlikwidowanych PGR-ów i ich rodzin. W programie Partii Demokratycznej znajduje się postulat wprowadzenia podatku liniowego. Z drugiej strony trudno zakwestionować dziś potrzebę jak najszerzej koalicji centrolewicowej, swego rodzaju pospolitego ruszenia, które mogłoby zapobiec trwałej monopolizacji władzy przez konserwatywną prawicę. Nie zrobi tego trzymające władzę na Rozbrat neomillerowskie skrzydło, które imituje lewicowość na poziomie krajowym, zaś w samorządach lokalnych zadowala się rolą potulnej przystawki Platformy Obywatelskiej, bo imperatyw udziału we władzy jest w młodym aparacie silniejszy niż jakakolwiek ideowość.

Obie strony konfliktu na lewicy są słabe, zaś w najbliższych miesiącach prawdopodobnie jeszcze bardziej osłabną, koncentrując się na kwestii: kto kogo. Napieralski jest pod presją aparatu, który chce układać listy wyborcze i nie ma zamiaru dopuścić do tej czynności „zdrajców” z SDPL i obcych z PD. Obóz Kwaśniewskiego wie, że aby ułożyć jedną wspólną listę centrolewicy do Parlamentu Europejskiego, musi przejąć kontrolę nad SLD. Były prezydent ma nadzieję, że pomoże mu w tym Jerzy Szmajdziński. To dlatego uznał go niedawno za najlepszego kandydata centrolewicy na prezydenta. Jednak Szmajdziński nie przypomina niedawnej szarej eminencji SLD. Trudno przypuszczać, by podjął ryzyko otwartej konfrontacji, która mogłaby się dla niego skończyć utratą miejsca na następnej liście wyborczej.

**Krzysztof Pilawski**, dziennikarz, publicysta